



Franciszek Pieczka na krakowskich scenach

2022-10-12

„Zamiast krzesel lub foteli, zastosował rewelacyjny twórca widowiska »nasiadówki« dla chorych na hemoroidy. Horodniczy miał na sobie coś w rodzaju fraka czy surduta, który odślaniał goły brzuch (...). Córka Horodniczego, obwieszona szmatkami i pończochami, spod których wyzierały »pejzaże striptisowe«.”

Powyższe zdanie to cytata z recenzji Gogolowskiego „Rewizora” wystawianego na scenie Teatru Ludowego. Premiera odbyła się 21 listopada 1963 r., czyli prawie przed 60 laty. Grono miłośników teatru, którzy oglądali ten spektakl (i do których zalicza się piszący te słowa), jest więc dziś ze zrozumiałych względów niezbyt liczne. Dlatego warto przypomnieć, że owym Horodniczym w kusym surduciku był Franciszek Pieczka, okrytą zaś cielistymi pończochami horodniczką Anna Lutosławska. Oczywiście reżyser chciał uczynić dzieło Gogola ponadczasowym i w związku z tym zrezygnował z wszelkich rosyjskich realiów. Rezygnacja była tak daleko posunięta i tak skuteczna, że kiedy Horodniczy wygłaszał sławne słowa: „Z kogo się śmiejecie? Z samych siebie się śmiejecie!” widownia trwała w ponurym milczeniu. Oczywiście aktorzy robili, co mogli, a przy takiej reżyserii i takiej scenografii (owe nieszczęsne blaszane „nasiadówki”!) nie mieli żadnych szans na sukces. Jednak nawet w spektaklu, który kończył się zbiorową ucieczką do zawieszonych na scenie workowatych poszew na widok dziecięcego „rewizora ze stolicy”, Franciszek Pieczka potrafił dać próbkę swojego talentu.

Cenny transfer

O ile „Rewizor” był artystyczną klęską, to nowohucki „Sen nocy letniej” w reżyserii Lidii Zamkow wypadł bardzo dobrze. Jak pisał jeden z recenzentów: „Anna Lutosławska i Franciszek Pieczka prowadzili aktorsko to przedstawienie. Ona – Tytania, pełna temperamentu, erotycznego nienasyceńca, stworzyła jedną z tych swoich ról, które (...) utrwalają się w pamięci i są nie tylko sukcesem aktorskim, lecz także nowym spojrzeniem na osobę dramatu, odmienieniem jej dla współczesności. Pieczka jako Spodek dał popisową lekcję lirycznego komizmu osiąganego wcale brutalnymi środkami”.

W 1964 r. Franciszek Pieczka opuścił nowohucki Teatr Ludowy i przeniósł się do Starego. Na jego scenie zapisał się między innymi rolą Beni Krika w „Zmierzchu” Izaaka Babla. Premiera odbyła się zaraz po świętach Bożego Narodzenia roku 1966. W przedstawieniu brały udział same gwiazdy. Benię grali na przemian Franciszek Pieczka i Marek Walczewski, Mendlem Krikiem był Wiktor Sadecki, Nechamą – Maria Bednarska, Lowką Krikiem – Jerzy Filipowski, Dwojrzą Krikówną – Halina Kwiatkowska, a Marusią – Anna Seniuk.

Bez zarzutu

Spektakl, wyreżyserowany przez Jerzego Jarockiego, był polską prapremierą napisanej w 1928 r. sztuki Izaaka Babla. Trzeba pamiętać, że autor „Zmierzchu” cieszył się w latach 60. ogromną popularnością. Każdy młody człowiek z minimalnymi choćby ambicjami intelektualnymi miał wówczas obowiązek zachwycać się „Konną armią” oraz „Opowiadaniem odeskimi”.

Recenzenci, jak to zwykle bywa, nie przesadzali w pochwałach. Jeden z nich zadał nawet dramatyczne pytanie: „Czy to jest sztuka »aktorska«, dla aktorów? I tak, i nie. Tak – jeśli



aktorstwo ma polegać na powściągnięciu zewsząd narzucającej się opisowości i rodzajowości przedstawianego obrazu. To nie jest sztuka dla aktorów, którzy pragnęliby wyżyć swoje talenty imitatorskie: najbliżej byłoby stąd do klęski”. Dziś, po upływie przeszło półwiecza, bardziej skłaniałbym się do opinii innego recenzenta, który spointował swoje refleksje na temat „Zmierzchu” stwierdzeniem: „Robota aktorska bez zarzutu”.

Nie mogło być inaczej. Przecież były to złote lata Starego Teatru, a w przedstawieniu brały udział same „aktualne” i przyszłe gwiazdy. Wiktor Sadecki przemienił Mendla Krika, cieszącego się nawet wśród wozaków opinią grubianina, w odeskiego Leara. Grający Benię Franciszek Pieczka rzeczywiście bez zarzutu wcielił się w postać zaczynającego wielką gangsterską karierę przyszłego króla Odessy. Prawdziwym popisem sztuki aktorskiej była jego rozmowa z kandydatem na narzeczonego siostry, „mesje” Bojarskim w sprawie uszycia garnituru, zakończona kordialnym stwierdzeniem: „No, przecież nie pójdziemy do wójta!”.

Kontrowersje w Starym

Grając Benię Krika, można było pozwolić sobie na odrobinę komizmu. Inaczej było w przypadku sztuki „Woyzeck” Georga Büchnera. Premiera spektaklu, reżyserowanego przez Konrada Swinarskiego, odbyła się 25 czerwca 1966 r. Rok później inscenizację pokazano w teatrze telewizji. Recenzje były entuzjastyczne. Pisano, że „...sukces przedstawienia zależy w największej mierze od gry bohatera dramatu. Franciszek Pieczka stwarza w roli Woyzecka wielką kreację. Nie obawiajmy się tego słowa. Jest wzruszający i naiwny, nieporadny, jak duże dziecko. Nie rozumie świata, który go otacza, i nie wie, dlaczego życie jest dla niego tak okrutne. (...) Woyzeck Pieczki jest wrażliwy i dobry, głęboko nieszczęśliwy i skazany na śmierć w zderzeniu ze światem, którego wilczych praw nie rozumie, nie uznaje i nie chce uznać. Zbrodnia jest dla niego próbą wyrwania się z matni, próbą ucieczki”.

Z jakichś, dziś nie do końca zrozumiałych, względów pojawiły się pod adresem Starego Teatru absurdalne zarzuty. Dotyczyły one m.in. rzekomo obecnych w spektaklu antysemitycznych akcentów. Powodem była zapewne demoniczna postać doktora, grana przez Antoniego Pszoniaka oraz pijacka rymowanka burszów w wykonaniu Aleksandra Bednarza i Andrzeja Buszewicza. Szczególnie nieżyczliwie potraktowała przedstawienie znana krakowska postać, czyli dr Bolesław Drobner, szanowany powszechnie działacz lewicowy. To on, jak donosiła prasa, „w liście skierowanym do dyrektora Starego Teatru, powołując się na przywiązanie do polskiego teatru, a specjalnie do Starego Teatru nazwał spektakl jednym najstraszniejszym skandalem, który powinien spaść z afisza”. Domagał się tego jako widz, „szukający piękna, a nie próchna na scenie polskiej”, podkreślając jednocześnie, że występuje „w imię dobra młodzieży i robotników”.

Na owe zarzuty, które na szczęście nie dotyczyły gry Franciszka Pieczki, odpowiedział taktownie Zygmunt Hübner, dyrektor Starego Teatru, który wyjaśnił, że „Woyzeck” znajdujący się w repertuarze wielu czołowych teatrów świata „uważany był zawsze za utwór społecznie postępowy”. Nie jest też spektaklem dla młodzieży i z pewnością mniej demoralizuje od szczegółowych opisów zbrodni na łamach codziennej prasy oraz od naturalizmu wielu filmów kryminalnych.